

Splendor, korona i kanapka z marmoladą. Rozmowa z Łukaszem Jasiną

Królowa zachowywała pewien konserwatyzm w podejściu do przemian, nie tylko tych technologicznych, ale rozumiała, że musi się komunikować ze swoimi poddanymi na całym świecie w sposób nowoczesny. A to oznaczało dynamiczność w kreowaniu wizerunku przez kolejne lata rządów — mówi Łukasz Jasina w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Korona. O potrzebie ciągłości”.

Michał Strachowski: Zobaczymy pogrzeb Elżbiety II w *The Crown*?

Łukasz Jasina: Obawiam się, że wiedzą to tylko twórcy serialu. [Śmiech] Ale mówiąc zupełnie serio, nie byłoby w tym nic zaskakującego. Nie zabija się kury znoszącej złote jajka, a *The Crown* to jedna z najpopularniejszych produkcji Netflixa. I chociaż serial miał się kończyć, gdy zaczyna się akcja *Królowej* z 2007 roku ze świetną kreacją Helen Mirren, to zważywszy na zainteresowanie ostatnimi dniami życia monarchini, można się spodziewać jego kontynuacji.

Nawet jeśli będzie to oznaczało konieczność opowiedzenia o sprawach bieżących? Romanse i śmierć księżnej Diany, które będzie można zobaczyć w piątym sezonie *The Crown* to sensacje sprzed ćwierćwiecza, a to w warunkach współczesnego obiegu informacji zamierzchła przeszłość. A co więcej, dotyczą życia

obyczajowego celebrytów, bo tak należałoby postrzegać członków rodziny królewskiej, nie spraw przyziemnych. Czymś zupełnie innym byłoby pokazanie stosunku monarchini do Brexitu, którego skutki odczuwają mieszkańcy Wysp na co dzień.

Jest pan pewien, że to taka odległa przeszłość? Co powiedzieć zatem o Margaret Thatcher, która objęła fotel premiera w 1979 roku?

Odpowiedziałbym, że znaczenie Żelaznej Damy dla codziennego życia Brytyjczyków jest wciąż niepomiernie większe niż losy Lady Di...

Oczywiście, thatcheryzm ukształtował współczesne oblicze Wielkiej Brytanii, ale nie należy zapominać o warstwie symbolicznej, której Diana Spencer jest ważnym elementem. Podobnie jak bardzo odległy od naszych czasów Winston Churchill, którego można było zobaczyć nie tylko w *The Crown*, ale i w kilku współczesnych produkcjach. Wracając do pańskiego poprzedniego pytania, nie widzę powodu, aby sprawy aktualne nie miały znaleźć się w serialu. Wszystko jest kwestią dobrego scenariusza i doboru obsady. Bez najmniejszego problemu wyobrażam sobie ekranową opowieść o śmierci Królowej Matki, ślubach Williama i Harry'ego czy skandalu z księżną Sussex. Ostatecznie, wszystkie te wydarzenia i tak rozgrywały się na naszych oczach.

Podobnie jak ostatnie chwile Elżbiety II.

Dotknął pan ważnej kwestii. Czasem ze znajomymi żartowaliśmy, że *The Crown* to serial, który toczy się w dwóch wymiarach jednocześnie, tym wyobrażonym i realnym, i wciąż czekamy jej zakończenia. Teraz już wiemy, jak domknęła się ta historia. Swoją drogą, to jest jeden z ciekawszych przykładów kształtowania odbioru rzeczywistości przez współczesne platformy streamingowe. Założę się, że duża część z nas widzi wydarzenia historyczne w interpretacji serialowej. Poza tym, że życie monarchini w sposób ciągły dostarczało materiału dla fikcji, samo było elementem starannie przemyślanej kreacji, dlatego było tak fascynujące...

...a pogrzeb będzie zapewne medialnym wydarzeniem o skali globalnej [wywiad był przeprowadzony 15 września 2022 r. — red.]. Mam jednak wrażenie, że to nie tylko kwestia starannie przemyślanych kampanii wizerunkowych.

Myśli pan o skłonności do myślenia w kategoriach symbolicznych? Bez wątplenia, tak. Korona brytyjska bodaj jako jedyna zachowała wszystkie formalne atrybuty swojej „monarchiczności”. Jeśli spojrzeć na Szwecję czy Hiszpanię, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu miały nie mniej olśniewające ceremonie dworskie, a dziś niewiele różnią się od republikańskiej Francji czy Włoch, to kontrast staje się jeszcze ostrzejszy. Nawet papieżstwo zrezygnowało ze splendoru kojarzonego z katolickością.

W końcu żyjemy w egalitarnych czasach.

Ale nawet one nie stronią od zbytku, bo nasza natura go potrzebuje. Nieważne czy chodzi o prezentacje nowych produktów Apple'a czy otwarcie brytyjskiego parlamentu, istotą jest dbałość o perfekcję formy, która odsyła do czegoś „więcej”, do czegoś „poza”. Jakkolwiek różne są motywacje tych wydarzeń, to łączy je wspólnototwórczy charakter, nadawanie sensu pojedynczemu życiu. Nie muszę dodawać, że jest to szczególnie ważne w czasach takich jak nasze. Inną kwestią jest to, że wszyscy jesteśmy istotami zmysłowymi i potrzebujemy zewnętrznych znaków tego, co niewidoczne, stąd przepych oficjalnych wnętrz, wytworność stroju i etykiety. Jeśli spojrzysz pan na oficjalne brytyjskie uroczystości państwowe znajdzie pan tam ubiory z kilku epok historycznych równocześnie, od Tudorów, przez epokę wiktoriańską, po współczesność. Można by tych wszystkich ludzi przebrać w garnitury, ale przecież i one mają zmienne kroje. Brytyjczycy dobrze wiedzą, że cały ten ceremoniał jest niezbędny, bo w pewnym sensie ma charakter „ponadhistoryczny”, sięga do naszych najgłębszych potrzeb, a symbolicznie spina przeszłość z ciągle zmieniającą się teraźniejszością.

Spina też strukturę klasową Wielkiej Brytanii, w której dużo zależy od urodzenia.

Oglądał pan *Gosford Park* albo *Okruchy dnia*?

Widziałem oba.

I podobały się panu?

Nawet bardzo.

A nie było to po trosze efektem zauroczenia brytyjską formą, której elementem jest klasowość?

Zapewne tak. Nie zmienia to jednak faktu, że trwałość tej brytyjskiej formy oznacza również trwałość nierówności, której doświadczają na przykład polscy emigranci w Wielkiej Brytanii. „Frak dobrze leży dopiero w trzecim pokoleniu”, jak wszyscy wiemy.

Pytanie, czy da się nierówności uniknąć. Osobną kwestią jest to, czy zawsze warto.

Reżyserzy przywołanych przez pana filmów – Robert Altman i James Ivory – są Amerykanami. I nie oni jedni ulegli czarowi brytyjskiej formy po drugiej stronie Atlantyku. Czy nie jest tak, że paradoksalnie Korona dużą część swojej popularności zawdzięcza właśnie amerykańskiej kulturze, w której wszyscy jesteśmy zanurzeni?

Niewątpliwie tak. W kulturze krajów anglosaskich, nie tylko tych, których głową państwa są angielscy monarchowie, istnieje mit rodziny królewskiej. Szczególnie mocno się zaznacza w Stanach Zjednoczonych. Można by mówić nawet o pewnym kompleksie.

Kompleksie?

Amerykanie ewidentnie tęsknią za jakąś formą metafizycznego zakorzenia władzy, którą uosabia monarchia i stanowość. W tym miejscu warto przypomnieć, że Elżbieta II pojawia się w Hollywoodzkich produkcjach już od siedemdziesięciu pięciu lat. Po raz pierwszy można było ją zobaczyć na srebrnym ekranie w *Paradzie Wielkanocnej* z Fredem Astairem i Judy Garland. Częściej pojawia się chyba jedynie Tarzan. [Śmiech] A sama monarchia starannie ten mit pielęgnuje.

Czy ceną za tą wszechobecność nie była banalizacja?

Popularność nie musi od razu oznaczać wypłukania głębszych treści, co jest szczególnie widoczne szczególnie na postsekularnym Zachodzie. Otwartość na popkulturę oznaczała w przypadku Elżbiety II akceptację archetypicznej figury bohatera, który zgadza się na podjęcie przychodzącego z zewnątrz i pozornie przekraczającego ludzkie siły wyzwania. Doskonale weszła w przygotowaną rolę głowy państwa, co niejako automatycznie gwarantowało sukces całego przedsięwzięcia. Nie musiała nic od siebie dodawać, eksperymentować, wystarczyła skromność. Miała też wystarczająco długo czasu, aby przez swoją powściągliwość stać się ikoną, symbolem politycznym rozpoznawalnym w skali globalnej.

Coś jednak się zmieniło przez te siedem dekad, chociażby akcent z jakim mówiła królowa.

Oczywiście, wiele się zmieniło, nie tylko akcent. Królowa prawdopodobnie zachowywała pewien konserwatyzm w podejściu do przemian, nie tylko tych technologicznych, ale rozumiała, że musi się komunikować ze swoimi poddanymi na całym świecie w sposób nowoczesny. A to oznaczało dynamiczność w kreowaniu wizerunku przez kolejne lata rządów. Z początku widzieliśmy Elżbietę w kronikach filmowych, pokazujących urokliwą młodą kobietę, uosabiającą nadzieje na lepszy powojenny świat. Potem jako bohaterkę „zaginionego” przez długie dekady filmu dokumentalnego z 1969 roku o życiu rodziny królewskiej. I wreszcie w orędziach telewizyjnych, filmach promujących otwarcie Olimpiady w 2012 roku, a ostatnio przy herbacie z Misiem Paddingtonem. Od pewnego czasu funkcjonuje też strona <https://www.royal.uk> oraz oficjalne konta królewskie na Twitterze i Instagramie, których profesjonalizmu można pozazdrościć. Pałac Buckingham zawdzięcza swoją sprawność komunikacyjną we współczesnym świecie usługom najlepszych specjalistów od kwestii wizerunkowych. Wszystko to służy jednemu celowi, który pozostaje niezmienny – dobru monarchii, które dalece wykracza poza dobrostan pewnej uprzywilejowanej rodziny.

Wspomniane przemiany miały też wymiar egzystencjalny. Widzieliśmy starzenie się Elżbiety II jako głowy państwa, ale też jako kobiety. Jak o tym teraz pomyślę, to zdumiewa mnie naturalność tej przemiany. Kontrprzykładem może być Juan Carlos I, który jako młody władca patronował przemianie Hiszpanii z dyktatury w demokrację, a odszedł w atmosferze korupcyjnego skandalu. Czy w przypadku królowej była tylko kwestia wystudiowanej powściągliwości czy też cecha osobowości?

Zapewne kombinacja obu. Może kiedyś dowiemy się w jakiej proporcji. [Śmiech] Ale ma pan rację: Elżbieta II dała nam lekcję pięknego starzenia się, stopniowego rozstawania z energicznością młodością, pewnością dojrzałości i przechodzeniu ku coraz bardziej zdystansowanej od bieżących spraw starości. W ostatnich latach obecny król pełnił *de facto* funkcję regenta. Coraz częściej można było zobaczyć księcia Williama czy księżną Kate w sytuacjach oficjalnych. Nie chodziło tylko o to, by nie fatygować wiekowej monarchini, ale by wskazać na ciągłość dwóch instytucji – monarchii i rodziny – w których przenika się tego, co publiczne i prywatne.

Elżbieta II jako „babcia” nas wszystkich?

Bardziej dla mieszkańców Wspólnoty Narodów, ale poniekąd i dla nas. Niemniej ta próba wypracowania nowego, choć opartego na tradycji, obrazu starości w coraz bardziej długowiecznym społeczeństwie nie byłaby udana, gdyby rodzina królewska nie słuchała doradców od wizerunku. I to jest lekcja pokory, która przydałaby się innym głowom państw i politykom, którzy nie mają kilkudziesięciu lat na dopracowywanie wizerunku.

Tej pokory zabrakło kilku innym członkom rodziny królewskiej...

Myśli pan o księżnej Dianie?

Nie tylko. Jakiś czas temu książę Andrzej stracił stopnie wojskowe i prawo do używania tytułu „jego królewskiej mości” po skandalach obyczajowych.

Przypadek Księcia Yorku to osobna historia. Prowadził raczej niefrasobliwy styl życia i nawet najlepszym specem od wizerunku trudno byłoby ten fakt zamaskować. Ale reszta rodziny królewskiej bardzo zręcznie radzą sobie w kontaktach z mediami. Pominąwszy kilka niefortunnych wypowiedzi i kwestię nieudanego pierwszego małżeństwa trudno o obecnym królu powiedzieć, że stał się obiektem jakichś większych kontrowersji. A obecny książę i księżna Walii sprawnością PR-ową przypominają nieżyjącą monarchinię. Nawet książę Harry raczej gra z konwencją skandalu niż jest jego przedmiotem. Dzieci Diany, w przeciwieństwie do matki, która zupełnie zgubiła się w świecie mediów, pokazują tylko tyle ile chcą.

William i Harry zapłacili wysoką cenę za wejście w posiadanie tej wiedzy.

To bardzo gorzka lekcja, ale potencjalni monarchowie czasem się przekonują, że wejście w pewne role kończy się śmiercią.

Tłumy żegnające Elżbietę II bardziej oddają hołd monarchii czy monarchini?

Jest jeszcze za wcześnie, aby odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Truizmem jest stwierdzenie, że większość mieszkańców Wielkiej Brytanii nie pamięta innego władcy, co sprawia, że nie tylko na poziomie wizerunkowym doszło do złączenia osoby i instytucji. Autorytet Elżbiety II sprawiał, że nie było na Wyspach istotniejszego ruchu republikańskiego, Szkocja pozostawała w unii z Anglią, a dawne kraje dawnego imperium takie, jak Kanada czy Australia wciąż pozostawały monarchiami. Niemniej osobowość to nie wszystko. Monarchini nie stałaby się ostoją pewności w radykalnej transformacji Wielkiej Brytanii z kolonialnego imperium i potęgi przemysłowej w wieloetniczny i pluralistyczny kraj oparty na usługach i sektorze kreatywnym bez ram narzucanych przez system monarchiczny. Podobny proces we Francji zakończył się krwawą wojną w Algierii i kryzysem politycznym. De Gaulle, mimo niezwyklej charyzmy, nie był w stanie stać się takim pomostem między epokami. W przypadku brytyjskim zadziała długa pamięć instytucjonalna, powściągająca indywidualne ambicje. Zresztą, bez instytucjonalnego gorsetu w wielu aspektach trudno być nam naprawdę sobą.

Przywodzi mi to na myśl innego długowiecznego władcę – Franciszka Józefa I.

Porównanie skądinąd słuszne, ale mit elżbietański znacząco przerósł mit habsburski. Po pierwsze, gdy żył władca Austro-Węgier ustrój monarchiczny był w Europie raczej regułą niż wyjątkiem. Miało się to zmienić dopiero w kilka lat po jego śmierci na skutek delegitymizacji spowodowanej przez wojnę i jej skutki – śmierć milionów ludzi, kryzys gospodarczy i humanitarny oraz wzrost nastrojów rewolucyjnych. Po drugie, cesarz rzeczywiście panował długo, lecz kilkadziesiąt lat na

tronie zasiadała też królowa Wiktorja, więc i to nie było czymś wyjątkowym. Po trzecie, stabilność struktury państwowej, którą zapewniały długoletnie rządy Franciszka Józefa miała znaczenie przede wszystkim dla jego poddanych. Elżbieta II zaś stanowi symbol w skali globalnej. No i mit habsburski przynależy do przeszłości, bo też nie odwołują się do niego państwa sukcesyjne Austro-Węgier, a elżbietański ma szansę stać się jednym z politycznych i kulturalnych spoiw brytyjskości.

Fortuna będzie bardziej sprzyjać Karolowi III niż Karolowi I, następcy Franciszka Józefa I?

Jak na razie sprzyja. [Śmiech] Sądząc po pierwszym tygodniu rządów, Karol jest królem prawie idealnym.

No może poza kilkoma wpadkami o dużym memicznym potencjale.

Ale nawet one są raczej śmieszne niż kompromitujące. Ot, *grumpy old man*. [Śmiech] A mówiąc poważnie, to Karol przygotowywał się do swojej roli całe życie i jak na razie nic nie wskazuje, aby miał się stać gorszym władcą od swojej matki. Zapewne nie dorówna jej popularnością, przynajmniej, jeśli wnioskować po ostatnich badaniach, lecz i to może się to zmienić.

Nowy sezon *The Crown* wpłynie na jego wizerunek?

Przekonamy się już tej jesieni. [Śmiech] Zobaczymy Karola z lat dziewięćdziesiątych, czyli najtrudniejszego dla niego wizerunkowo czasu. Na jego korzyść może działać fakt, że występuje teraz w nowej roli. Zwłaszcza po koronacji symbolicznie będzie kimś innym. Jest co prawda ikoną popkultury, ale nie taką jak jego matka, więc i wymagania będą inne. Poza tym, jeśli nie da się rywalizować z mitem, trzeba stworzyć swój.

Myśli pan o przedsięwzięciach takich, jak The Prince's Foundation School of Traditional Arts, The Prince's Trust czy zaangażowaniu w kwestie klimatyczne?

Między innymi. Karol, wbrew złośliwym opiniom, nie próżnował przez lata oczekiwania na tron.

Czyli *grumpy old man* ma szansę stać się zaskakująco nowoczesnym monarchą?

Z pewnością będzie się starać takim być. Problem w tym, że ma niewiele czasu, aby to, co zaczął jako następcę tronu stało się znakiem rozpoznawczym jego rządów. Wydaje mi się, że właśnie z tego powodu Karol III będzie monarchą niezwykle aktywnym. Niektórzy z jego poddanych obawiają się, że nazbyt aktywnym...

Podobnie jak filmowy Karol III grany przez Tima Pigotta-Smitha?

Może w nie aż tak skrajnej postaci. Dzieło Ruperta Goolda miało jednak szekspirowski sznyt, więc i ekranowy kryzys polityczny musiał być stosownie wielki. Niemniej z łatwością mogę sobie wyobrazić monarchę wykorzystującego swoje historyczne prerogatywy do mniej lub bardziej nieformalnego kształtowania bieżącej polityki. Brytyjski system polityczny pozwala na tego typu subtelne gry. Poprzedni przewodniczący Izby Gmin, John Bercow, znany z wypowiedzianego podniesionym głosem „order!”, wykorzystywał historyczne przepisy, aby uwspółcześić brytyjski parlamentaryzm. Może Karol III też zmieni oblicze korony przez sięgnięcie do przeszłości? W końcu odnowa przez tradycję to jedna z jego *idées fixes*.

Nowy król ma szansę wyjść z cienia matki i żony?

Już wychodzi. To, co widzieliśmy przez ostatnich kilka dni jest początkiem zupełnie nowej, fascynującej opowieści o władzy, ciągłości i zmianie, w którą wpisują się nawet awantury o pióro czy czystość stołu. Czy ta historia skończy się jak *To Play the King*, serial będący częścią brytyjskiego *House of Cards*? Być może. Na pewno zakończyła się opowieść o Karolu jako wiecznym debiutancie, tak dobrze oddana w *Edward The Seventh*, opowiadającym o następcy królowej Wiktorii. Chociaż ten serial z 1975 roku traktował o historycznym Księciu Walii, to wiadomo było, że jego bohaterem jest i ten współczesny. Tylko dwa odcinki poświęcone były samym rządóm Edwarda VII...

Mało kto o tym pamięta, ale panowanie tego monarchy, choć krótkie było przełomowe na wielu polach, od kwestii wyznaniowych po artystyczne. Edward VII, albo Bertie, jak go

nazywano, miał też kilka skandali seksualnych na koncie.

I otóż to! Nie dla burzliwej młodości władcy pamięta się tamtą epokę, lecz dla poluzowania wiktoriańskiego gorsetu obyczajowego. Skandale były elementem tego procesu. Karol III, przeciwieństwie do Edwarda VII, miał więcej czasu, aby zostawić skandale za sobą. Nieszczęśliwe małżeństwo z Dianą Spencer zostało już dobrze przetrawione przez kulturę masową, a upływający czas sprawił, że zamieniło się w kliszę. Po Kunderowsku śmierć księżnej powodowana intensywnym życiem uczuciowym wraca wciąż w kolejnych filmach sprawiając wrażenie nieuchronności. Koło historii się zamyka. Ale czy w świecie postsekularnym nie stajemy jednak po stronie lekkości? Ostatecznie, na naszych oczach zaczyna się nowa historia. Jej bohaterką, obok Karola, jest Kamila, bardzo dobrze wypadająca w roli królowej małżonki. Kto wie zresztą, czy nie jest do niej odpowiedniejsza niż byłaby Diana.

Doczekamy się podobnego spektaklu przejęcia władzy przez księcia Williama?

Mam nadzieję, że tak. Monarchia stabilizuje politykę brytyjską, a bez stabilnej Wielkiej Brytanii nie ma stabilnej Europy oraz stabilnego świata. Istnienie instytucji, wykraczającej poza perspektywę kolejnej kadencji lub nawet kilku pokazuje tu swoją przewagę nad współczesnymi modelami republikańskimi. W przypadku Zjednoczonego Królestwa zniesienie monarchii otwierałoby ponadto pytanie o legitymizację unii oraz rozpałałoby lokalne separatyzmu w obrębie samej Anglii, nie wspominając o zawierusze, którą spowodowałoby to we Wspólnocie Narodów. Upadek monarchii

przynosi zamęt, który może przemienić się w chaos i instytucjonalną pustkę, o czym dobrze wiedzą wszyscy ci, którzy widzieli jak upadają trony.

Z Łukaszem Jasiną rozmawiał Michał Strachowski

Fot. © BBC

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

